

Afterglow



PHIL STAMPER

Afterglow

Przełożyła
Edyta Świerczyńska



Jaguar

Tytuł oryginału: *Afterglow*
First published in the United States of America in February 2023
by Bloomsbury YA

Text copyright © 2023 by Phil Stamper
Illustrations by May van Millingen
Cover Illustration by Patrick Leger
Book design by John Candell
Copyright © for the translation by Edyta Świerczyńska

Redakcja: Ida Świerkocka
Korekta: Marta Stochmiątek, Agnieszka Zygmunt
Skład i łamanie: Arkadiusz Zawadzki/Aureusart
Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-284-9

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)
twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: Opolgraf
Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4, dostarczonym
przez **ZING** Sp. z o.o.

Caitlin.

Z wyrazami bezgranicznej wdzięczności.

PO WAKACJACH

GABRIEL + HEATH + REESE + SAL

Dokończ zdanie

Jedna róża i jeden kolec
tych wakacji to...

G

kolec - powrót z Daytony
do nowego mieszkania,
finalizacja rozvodu rodzi-
ców i „żegnaj, plaża”

róża - powrót z Daytony
z nowym, seksownym
chłopakiem

(to o tobie, Reese)

H

(tak dla jasności)

oraz bliższe poznanie Diany

pocałowałaś na tej Florydzie parę żab,
więc dzięki za doprecyzowanie 😊

to w ramach kolca. Ale róż było znacznie więcej... Niesamowita poprawa warsztatu i lato w Paryżu, który z obiektywnego punktu widzenia zostawia wszystkie wasze miasta daleko w tyle

Hej, w Bostonie było fajnie! Moja róża - nowe przyjaźnie, bo nie sądziłem, że uda mi się kiedyś wyjść ze swojej skorupki, LMAO. Kolec - jeszcze pół roku czekania na odpowiedź z uniwerku stanowego

Plus - odkrycie, że polityka naprawdę mnie kręci... tylko nie ta waszyngtońska. Minus - moje spektakularne załamanie nerwowe

mówiłem różę i kolce, nie plusy i minusy

nie masz za grosz fantazji

bonusowa róża - po tym szalonym lecie nadal jesteśmy przyjaciółmi. Kolec - zaniedbywanie kontaktów

co jest przerażające, bo za rok rozjeździemy się po świecie... na zawsze.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

REESE

Październik zawsze był moim ulubionym miesiącem. W powietrzu czuć już nadciągające zmiany – wiatr robi się ciut chłodniejszy, drzewa zmieniają barwy, alergie wreszcie odpuszczają, a sezon futbolowy rusza pełną parą.

No dobra, to ostatnie to bajka Heatha. W moim wykonaniu to bardziej sezon na budki ze śmieciowym żarełkiem oraz piątkowe frytki z serem.

Z Paryża wróciłem ze świeżutkim naręczem obowiązków. Jako ogólnoszkolnemu guru grafiki powierzono mi zadanie zaprojektowania scenografii na tegoroczny bal maturalny. Nowe przedmioty to też nie lada wyzwanie, jeden trudniejszy od drugiego. No i po raz pierwszy w życiu wcielam się w rolę chłopaka.

„Jestem czymś chłopakiem” – powtarzam w myślach, wbijając się w gruby dziergany sweter. „Jestem chłopakiem Heatha!”

Z zewnątrz dobiega chrzęst żwiru pod kołami, a po nim trzy szybkie trąbnięcia – czytaj: „Kocham cię, ale nie zamierzam po ciebie wychodzić” w języku Heatha.

Zakładam okulary przeciwsłoneczne, żegnam się z mamuškami i ruszam w stronę zachodzącego słońca.

Gdy tylko wskazuję do furgonetki, uderza mnie zapach dezodorantu Heatha, i wiem, że gdybym teraz stał, to ugięłyby się

pode mną kolana. Władza, jaką ma nade mną ten chodzący ideał, jest niesamowita, cudowna i niebezpieczna zarazem.

– Mi amor – duka z koślawym francuskim akcentem w miejsce powitania.

Krzywię się lekko.

– Chyba *mon amour*?

Marszczy nos.

– Racja. Kara za próbę zaimponowania mojemu chłopakowi globtroterowi szybko mnie dosięgła.

– I tak mi się podobasz – mówię, przerzucając szalik przez ramię.

Droga do szkoły upływa nam pod znakiem naszego własnego języka, prywatnych żarcików i tekstów, które tylko my łapiemy. Po dwóch miesiącach związku wszystko wciąż jest nowe i ekscytujące, a jednocześnie znane i bezpieczne.

Patrzę na niego, ale nie odrywa oczu od drogi.

– O czym tak myślisz? – pyta.

– Szczerze? Że nadal nie mogę w to uwierzyć. W nas. Czysta abstrakcja – przerywam. – Po tych wszystkich latach...

Zjeżdża na chodnik i obejmuje mnie zgrabnie pod pachą, przyciągając do siebie. Nachyla się i nasze usta spotykają się w szybkim, silnym pocałunku mówiącym: „Jestem tu i nigdzie się nie wybieram”.

– To też abstrakcja? – pyta.

Wciąż czuję mrowienie warg.

– Z każdą sekundą coraz mniejsza.

– To dobrze – mówi, posyłając mi promienny uśmiech.

Reszta drogi upływa nam w milczeniu i w końcu wyrasta przed nami budynek szkoły. Przez odsunięte szyby wdzierają się słabe echo naszej pieśni bojowej w wykonaniu szkolnej orkiestry i gdy wjeżd-

dżamy na parking, dołącza doń wrzawa rozgorączkowanego tłumu. Udziela mi się jego energia, a serce zaczyna bić szybciej.

Ja, Heath, Gabriel i Sal od pierwszego dnia szkoły zakasaliśmy rękawy, rzucając się w wir zajęć. Heath na siłce, Gabriel w swojej nowej grupie pro-LGTBQ+, a Sal w samorządzie uczniowskim. Bywają dni, że nawet na czacie grupowym wieje pustką.

Ale na dzisiejszym meczu absolwentów nasza czwórka będzie nierozłączna.



Trzymając się za ręce, wchodzimy z Heathem na stadion i bacznie się rozglądam. W Paryżu na nasz widok nikomu nie drgnęłaby powieka, ale Gracemont w stanie Ohio to trochę inna bajka.

Przedzieramy się przez tłum uczniów, znajomych rodziców i dawnych nauczycieli; uśmiecham się nawet grzecznie do woźnej z gimnazjum. Zerka na nasze splecione dłonie i gdy już gula staje mi w gardle, posyła mi spojrzenie, które można zinterpretować tylko w jeden sposób: „u la la!”.

Rumienię się i ciągnę Heatha na trybuny.

– Tam są chłopaki, za sekundę wracam – mówi, wrzucając nagle wsteczny bieg i wskazując kciukiem swoich kumpłi z drużyny baseballowej. – Tylko się przywitam. Chcesz coś z budki?

„Frytki z serem”, odpowiadam w duchu. Ale przypominam sobie, że jeśli skuszę się teraz, to w trzeciej kwarcie pójdę po dokładkę i mój żołądek będzie cierpiał.

– Tylko sprite’a? – rzucam bez przekonania.

Mruży oczy.

– Jasne. Frytki z serem i sprite razy raz?

Wchodzę na trybuny i powiew wiatru na świeżo porzuconej dłoni sprawia, że już za nim tęsknię. Kręcę głową. Po tylu latach

marzeń o chłopaku związek potrafi równie mocno uderzyć do głowy i przeklinam w duchu swój głupiutki, banalny mózdzek.

– Reese! – woła Gabriel, schodząc po schodkach z telefonem w ręce. – Przywitaj się z Mattem!

Opieram się o siatkę i nieco zakłopotany macham z uśmiechem do chłopaka na jego FaceTimie.

– Sal czeka na górze – mówi. – Zaraz wracam, tu jest fatalny zasięg.

Przedzieram się przez tłum, lokalizując w końcu Sala. Dla zabicia czasu przegląda social media i w bladej poświacie telefonu wygląda, jakby umierał z nudów. Przeciskam się przez grupkę pierwszoklasistów i siadam obok, trącając go lekko ramieniem.

– Reese – odzywa się. – Gdzie Heath?

– Z kolegami z drużyny baseballowej – odpowiadam. – Gabriel nie mógł wybrać innej pory na pogaduchy ze swoim chłopakiem?

– Wiesz, miłość i te sprawy. – Sal kręci tylko głową.

Siedzimy w ciszy, przeglądając swoje Instagramy. Podczas gdy wszyscy wokół mają na sobie szkolne kurtki i bluzy z kapturem, a co twardsi T-shirty i szorty jak na rdzennych mieszkańców Środkowego Zachodu przystało, Sal postawił na elegancką koszulę i chinosy, a ja na modny sweter i džinsy.

– Nie masz czasami wrażenia, że tu nie pasujemy? – pytam w końcu.

Wzdycha.

– Dzień w dzień.

Milczymy dalej, tymczasem tłum wokół nas nagle się ożywia. Wstajemy z automatu do hymnu, wiwatujemy, kiedy nasza drużyna wygrywa pierwszy wykop i pędzi do linii czterdziestu jardów z pieśnią bojową na ustach.

W pewnej chwili Sal trąca mnie łokciem, ale gdy się odwracam, wpatruje się w dal z tajemniczym uśmieszkiem. Roześmiani Gabriel i Heath wspinają się po schodkach, objuczeni napojami i frytkami w rozmiarze XXL.

Siadają obok nas i całe moje poczucie wyobcowania sprzed chwili momentalnie wyparowuje, gdy Heath podaje mi sprite'a i obejmuje ramieniem. Gabe zaczyna opowiadać, jak to jego siostrze udało się przemyścić gorzałę na mecz uniwersytecki, i słuchamy go z przejęciem, zajadając się frytkami, z przerwami na obowiązkowe wiwaty.

Przez tyle lat nasza czwórka omijała szerokim łukiem tego typu imprezy, ale teraz, gdy nasze licealne dni są policzone... Chcemy wycisnąć je jak cytrynkę.

Nie wiedzieć czemu Gabriel i Sal pękają ze śmiechu, aż oczy zaczynają im łzawić. Heath tymczasem próbuje nakarmić mnie frytką, niby przypadkiem brudząc mi usta serem, który skwapliwie ściera pocałunkiem.

Tego lata tyle się zmieniło, ale nasza czwórka z marszu wpada z powrotem w stary dobry rytm. Gracemont w stanie Ohio to może i „trochę inna bajka”, ale tu i teraz, otoczony przyjaciółmi, czuję się jak w domu.



ROZDZIAŁ DRUGI

HEATH

Mecz absolwentów od zawsze należy do moich ulubionych wyjść, głównie dlatego, że to jedyna impreza sportowa, na którą udaje mi się wyciągnąć wszystkich chłopaków. Chociaż w tym roku nie musiałem ich nawet namawiać. Reese zamelduje się wszędzie, gdzie są budki z żarciem, ale dziś jest jakoś inaczej. Czyżby parę miesięcy rozłąki wystarczyło, by zatęsknili za Gracemont i spółką?

Atmosfera jest elektryzująca i można odnieść wrażenie, że zeszło się całe miasteczko. A moja ręka każdą wolną chwilę spędza wokół Reese'a.

Tak, wiem, przyszłość naciera na nas jak rozpędzony pociąg towarowy. Ale przemiana z przyjaciół w coś więcej była gładka jak jego wełniany sweter, który teraz kurczowo ściskam. Mimo wszystko nie opuszczam gardy. Znam niebezpieczeństwa małomiasteczkowego coming outu, lecz nasza czwórka jest nie do zatrzymania. Któż mógłby stanąć nam na drodze? Przy pasji Gabe'a, wyszczekaniu Sala, niesamowitym talencie Reese'a i moich mięśniach nikt nie ośmieli się nas tknąć.

Nie tracę czasu i trzy, cztery dni w tygodniu podnoszę ciężary w ramach przygotowań do sezonu baseballowego. Wprawdzie do eliminacji i pierwszych treningów zostało jeszcze trochę czasu, ale dla sportowca z górnej półki jak ja sezon tak naprawdę nigdy się nie kończy.

– Jest twój tata – informuje mnie Reese. – Zapomniałem, że nigdy nie opuszcza tych meczów.

Śmieję się.

– Za nic w świecie. Dla niego to jak doroczny zjazd absolwentów.

Przechesuję wzrokiem tłum i odnajduję go rozmawiającego z trenerem Lee.

– Gada z trenerem – mówię. – Muszę interweniować, zanim zapisze mnie na kolejną dyscyplinę albo coś.

– O nie! – jęczy błagalnie Reese. – Baseball już pożera ci cały wolny czas, a sezon jeszcze się nawet nie zaczął.

Daję mu ostatniego buziaka i schodzę z trybun na zwirową bieżnię okalającą boisko, ale gdy otwieram usta, żeby się przywitać, wybucha historyczna wrzawa, orkiestra intonuje naszą pieśń bojową, a na murawie zawodnicy wpadają sobie triumfalnie w ramiona. Innymi słowy, właśnie zdobyliśmy punkt.

Gdy stadion się uspokaja, ściskam trenerowi rękę.

– Dobry wieczór, trenerze – witam się.

– Heath, właśnie o tobie mówiliśmy – wcina się tata.

– Same dobre rzeczy, mam nadzieję? – rzucam, bo co odpowiedzieć na wieść, że ktoś „właśnie o tobie rozmawiał”? Taki pusty frazes dorosłych, „jeden z”. Ale uśmiech na trenerskiej twarzy mówi mi, że trafiłem w dziesiątkę.

– Jak najbardziej. Właśnie zdawałem twojemu ojcu raport z twoich postępów okołosezonowych. Podobno wyciskasz siódme poty w tunelu, no i jesteś jedynym zawodnikiem, który pojawia się na każdym treningu ciężarowym trenera Roberta. Vanderbilt mają szczęście, że będziesz dla nich grał.

Czerwienię się.

– Do Vanderbilt jeszcze długa droga.

Tata kładzie mi rękę na ramieniu.

– Nie bądź taki skromny. Ciężko na to pracowałeś i jestem z ciebie cholernie dumny.

– My też – dorzuca trener, kiwając głową. – Panowie wybaczą, że ich opuszczę, ale ruch przy budkach wreszcie się rozładował, a ja marzę o hot dogu. Do zobaczenia wkrótce!

Odprowadzamy go wzrokiem i tata ściska mi lekko ramię. Odwracam się do niego z uśmiechem, ale zdążył się już zapatrzeć na pobliską grupkę starszych absolwentów.

– Masz ochotę przywitać się z moimi dawnymi kolegami z drużyny? – pyta z błyskiem nadziei w oku i ścisza głos. – Unikam ich, bo na bank zapytają o mamę, ale może odciągniesz na chwilę ich uwagę? Wiesz, wszyscy są zdania, że Gracemont po raz pierwszy w historii wypuszcza przyszłego pierwszoligowego gracza.

Znów się czerwienię. Nie wiedzieć czemu pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, brzmi: „Ciekawe, czy MLB ma w swoich szeregach jakiegoś jawnego geja”, ale zanim mam szansę się w to zagłębić, tata już ciągnie mnie do swoich kolegów.

Oczywiście znam ich wszystkich. Niektórzy po dyplomie zostali w Gracemont, inni wyjechali, ale rokrocznie zjeżdżają się na mecz absolwentów, a ja jako jeden z baseballowej braci od trzech lat jestem dosłownie na ustach każdego.

– Przypomnij mi, jaką miałeś statystykę w zeszłym sezonie? –
(385)

– Wiedziałem, że pewnego dnia zostaniesz gwiazdą. A słyszałeś, co się mówi o praworęcznych miotaczach, którzy odbijają lewą? – (Że odbijanie niedominującą ręką daje większą dźwignię, a co za tym idzie, lepsze statystyki).

– Tennessee spuściło niezłe baty Vanderbilt w zeszłym sezonie, co nie? – (Nie da się ukryć).

Odpowiadam grzecznie na wszystkie pytania i za każdym razem, gdy zerkam na tatę, ma on na twarzy wielkiego banana. Na szczęście nigdy nie był rodzicem-trenerem z piekła rodem, ale gdy zaciska mi mocniej dłoń na ramieniu, czuję krople potu na karku.

– Jak tam? – pyta Reese i na dźwięk jego głosu moje ciało mentalnie się rozluźnia. – Chłopaki chcą ci wyżyć frytki, więc przybiegłem na skargę. Dobry wieczór, panie Shepard!

– A, tak; panowie, poznajcie Reese’a, chłopaka Heatha. – Tata wypycha mnie w stronę trybun. – Idź, zanim wyjedzą ci te frytki.

Koledzy taty parszczą śmiechem, więc się żegnają i wracamy.

– Wyglądałeś, jakbyś wzywał ratunku – mówi Reese. – Za dużo baseballowej gadki?

Biorę głęboki wdech i przyciągam go do siebie, wypuszczając powietrze.

– To będzie bardzo długi rok.



ROZDZIAŁ TRZECI

SAL

Nigdy nie byłem fanem absolwenckich imprez. Stadion pęka w szwach od ludzi w różnym wieku – choć dokładnie na tym samym zaawansowanym etapie upojenia alkoholowego. Podobno stowarzyszenie absolwentów (brzmi górnolotnie, ale to po prostu zramolała grupa na Facebooku) urządza piwną imprezkę na farmie w dawnym sąsiedztwie Heatha i wszyscy absolwenci Gracemont High są zaproszeni.

Ale dla aktualnych uczniów gwoździem weekendu jest sobotni bal absolwentów. Byliśmy na nim w pierwszej klasie i przetańczywszy w bólach osiemset kawałków Bruno Marsa z playlisty DJ-a, poprzysięgliśmy sobie, że nasza noga nigdy więcej na nim nie postanie.

Zastąpiliśmy go swoimi tradycjami: ogniskami z rozmachem i własną playlistą u Heatha czy maratonami filmowymi – wszystko, byle tylko omijać salę gimnastyczną szerokim łukiem.

Niestety w tym roku połowa naszej paczki jej nie ominęła. Z konieczności. I tak oto ja i Reese wślizgujemy się na szkolną salę balową.

– Czuję się jak szpieg – stwierdza Reese, zsuwając czarne okulary.

Wzruszam ramionami.

– Bo jesteśmy szpiegami.

Oficjalnie to samorząd organizuje wszystkie potańcówki i w mojej gestii jako jego przewodniczącego leży tylko bal absolwentów. Od dwudziestu lat obsługuje go ten sam DJ i fotograf, miejscówka też jest stała (sala gimnastyczna), a jedyne, co możemy wybrać, to motyw przewodni.

W tym roku zostawiliśmy to młodszemu rocznikowi, które z jakiegoś tajemniczego powodu postawiły na hasło „Born in the USA”.

Przechodzimy pod czerwono-biało-niebieskimi balonami i serpentynami. Reese rzuca okiem konesera na scenografię, poczęstunek, playlistę i tak dalej. Stoimy na czele studniówkowego komitetu organizacyjnego i rzecz jasna chcielibyśmy uniknąć przypału. Stąd też nasza misja zwiadowcza.

– Nikogo nie oceniam, ale przaśne to jest – mówię i Reese parska śmiechem.

– Oceniaj do woli, mi to nie przeszkadza – uspokaja. – Ale musimy się tu pokręcić, jeśli chcemy urządzić bal stulecia. I prześledzić proces decyzyjny punkt po punkcie, a potem zrobić dokładnie na odwrót. Najprostszy przepis na sukces.

Kiwam głową.

– I tak już gorzej nie można wypaść. Pamiętasz, jak w pierwszej klasie wynajęli łódź na Lake Erie i wszyscy się pochorowali?

– No, ale nas chyba stać na coś lepszego? – Wskazuje gestem na salę. – W końcu ja uczyłem się projektowania w Paryżu, a ty jeździłeś na te wszystkie eventy wyborcze do Waszyngtonu.

Siadamy na trybunach pod ścianą. Są kompletnie wyludnione, nie licząc dwóch pierwszoklasistów obściskujących się w ostatnim rzędzie.

– Amatorszczyzna – rzucam, wskazując ich brodą. – Gabe i ja mieliśmy na tyle oleju w głowie, żeby nie dać się przyłapać, i całowaliśmy się pod trybunami. No i pokój dla kapeli w korytarzu zawsze jest otwarty.

– Wiesz, gdybym w zeszłym roku usłyszał takie zdanie, zzieleniałbym z zazdrości. – Klepie się w klatę. – Ale dojrzałem.

Wzruszam ramionami.

– Wybacz. Gdybyś powiedział nam trochę szybciej o swojej mięcie do Heatha, powściągnęlibyśmy z Gabe'em cugle.

– Problem był we mnie, nie w was. A poza tym teraz to już się nie liczy, bo mogę się z nim całować do woli. À propos, możemy kończyć misję i wracać?

Próbujemy jeszcze drinków (czytaj: hawajskiego ponczu w różnych smakach, z wiadomych względów twardo pilnowanego przez jednego z nauczycieli) oraz przekąsek (supermarketowe precle i oreo), cały czas robiąc skrupulatne notatki.

– Po co wam okulary przeciwsłoneczne w środku?! – woła nagle za naszymi plecami czyjś głos.

Odwracam się i widzę Lylę, która przygląda się nam podejrzliwie ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Odgarnia za ucho prosty kosmyk swoich czarnych włosów. Też jest tegoroczną maturzystką i zasiada z nami w samorządzie, więc uznaję, że można ją wtajemniczyć w nasz szatański plan.

– Robimy notatki do naszego balu. Chcę przyjść na następne zebranie z listą błędów, jakie popełnili. Żeby ich broń Boże nie powtórzyć.

– Ty też? – pyta Reese'a.

– Eee... no. Cześć, Lyla.

Wyrywa nam z rąk notesy i rzuca na podłogę pod trybunami.

– Co ty wyprawiasz? – pytam, cały czerwony.

W odpowiedzi łapie mnie za nadgarstek i ciągnie na parkiet.

– Wyciągam wam kij z tyłka – odpowiada chłodno.

Wtaczamy się z Reese'em na parkiet i oślepia nas błysk światła z boksów DJ-a. Podłoga drga w rytm muzyki i moje ciało zaczyna się samo kołysać. Obok Reese kolebie się niezdarnie, ale w końcu i on daje się porwać muzyce.

Parkiet wypełnia się znajomymi z równoległych i młodszych klas, których znamy z samorządu. Jak widać, nie wszyscy omijają szerokim łukiem te bale. I muzyka się poprawiła. A dekoracje i przekąski jakoś nikogo nie obchodzą.

Ściągamy więc okulary i po prostu tańczymy.